

Niezależność banku centralnego a sprzedaż polityki

24 czerwca 2014

Nie mamy pańskiego płaszcza i co pan nam zrobi?

Od kilku dni cała Polska żyje tak zwaną „afērą taśmową”. Wstrząs opinii publicznej z nią związany był tak ogromny, że nawet osobom niezainteresowanym polityką trudno odseparować się od wszechogarniających dyskusji i emocji związanych z ujawnieniem nagrań rozmów wysokich funkcjonariuszy polskiego państwa.

O ile niektóre treści z rozmów zostały szybko ocenione przez wszystkich negatywnie, o tyle warte szczególnej uwagi są rozmowy przedstawiciela ministerstwa z prezesem Narodowego Banku Polskiego. Sytuacja jest w zasadzie dosyć ironiczna, ponieważ parę miesięcy temu prezes NBP zaangażował się w dwa procesy polityczne – w tworzenie nowej ustawy o NBP (w sumie osłabiającej inny konstytucyjny organ, Radę Polityki Pieniężnej) oraz w kwestię wyboru nowego ministra finansów, sugerując przy tym jednocześnie, iż jest gotów udzielić wsparcia rządowi (cokolwiek miałoby to znaczyć i jakkolwiek miałoby to wyglądać).

W samych działaniach nie byłoby oczywiście nic ironicznego, gdyby nie fakt, że krytykują je ludzie, którzy sami jeszcze nie tak dawno bardzo chcieli, żeby w polskiej polityce nastąpiły zmiany forsowane przez prezesa NBP. Zwróćmy uwagę, że chodzi o zdymisjonowanie ministra finansów oraz zwiększenie uprawnień (a w zasadzie potwierdzenie ich) Narodowego Banku Polskiego do druku pieniędzy. Ci sami ludzie, którzy jeszcze do niedawna byli gotowi wielokrotnie zwolnić ministra finansów i zmienić NBP w rządowe ministerstwo, teraz próbują

przedstawiać się jako obrońcy niezależności banku centralnego.

Tymczasem fakty są takie, że w istocie tak wygląda „niezależność” banku centralnego. Można nawet powiedzieć, że jest to skutek owej „niezależności”. Gdyby bank centralny nie był „niezależny”, to prezes NBP nie byłby w pozycji negocjacyjnej wobec premiera rządu. Byłby kolejnym ministrem, który mógłby zostać zwolniony. Zamiast tego jest osobną władzą, NBP ma całkowitą niezależność budżetową, a kadencja w zasadzie nie może zostać skrócona. W sumie jedyna droga odwołania prezesa to zarzuty kalibru Targowicy, otwierające drogę do Trybunału Stanu. W każdym innym wypadku prezes NBP może generalnie działać w oparciu o maksymę „dziel i rządź”. Wszystko, co obecnie obserwujemy, jest owocem „niezależności” banku centralnego, a nie jej wypaczeniem. Z tego powodu większość obecnych komentatorów całkowicie nietrafnie diagnozuje istotę zagadnienia.

Parafrazując słowa klasyka Stefana Kisielewskiego, obecna sytuacja to nie kryzys niezależności banku centralnego, ale jej rezultat.

Jeden osobliwy polski wyłom wobec analogicznych zachodnich banków centralnych to otwartość i klarowność, którymi odznaczył się w nagranej rozmowie prezes NBP. Konsensus ekonomii głównonurtowej jest taki, że nie wolno tak otwarcie i bez żadnego skrępowania przyznawać, iż bank centralny ma możliwość wsparcia lub zwolnienia konkretnego rządu. Kodeks PR, czy też „komunikacja z otoczeniem” nakazują prezesowi unikać tak otwartych sformułowań, nawet jeśli tak de facto jest. Zamiast tego powinien mówić nudnym i suchym ekonomicznym żargonem o stabilizacjach, optymalizacjach, efektywnościach, całkowicie niepowiązanych z jakimikolwiek nazwami partii i nazwiskami. Trzeba innymi słowy zachować pozory i ukrywać brutalną prawdę o politycznej sile banku centralnego, żeby społeczeństwo wierzyło głęboko w mit eksperckiego planowania. Przykładowo Amerykanie muszą postrzegać Bena Bernankego jako wybitnego profesjonalistę (którym z pewnością jest),

działającego gdzieś z tyłu. Należy jednak ukrywać przed Amerykanami oczywistą prawdę o tym, że to między innymi Ben Bernanke zdecydował o tym, że wybory prezydenckie wygrał Barack Obama, a nie John McCain.

Wróćmy jednak do sedna „politycznego dealu”. Co z kwestią skupowania papierów rządowych przez bank centralny (ponoć w zamian za dymisję ministra i uchwalenie ustawy)? Czy ta propozycja nie oznacza tak naprawdę łamania konstytucji? Z prawnego punktu widzenia można by ten przypadek interpretować zarówno w jedną, jak i w drugą stronę (zobacz na ten temat komentarz Mateusza Benedyka). Prawda jest taka, że banki centralne od zawsze miały wpisane w swoje funkcjonowanie ciche cele fiskalne. Nikt nigdzie nie zakładał banku centralnego po to, aby „realizować cel inflacyjny”. To jeden z dobrze ugruntowanych mitów politycznych, który zajmuje godne miejsce obok innego mitu, jakoby w demokracji rządziła większość społeczeństwa. Banki centralne istnieją po to, aby pozwalać na czerpanie zysku z emisji waluty, którym dzielą się rządy i banki komercyjne. Ustawowy i konstytucyjny cel inflacyjny mimo nominalnego pierwszeństwa jest tylko celem pomocniczym przy tym działaniu. Tak samo funkcjonuje to praktycznie we wszystkich rozwiniętych krajach, gdzie normą jest, że banki centralne skupują obligacje rządowe (za pomocą mechanizmów pośrednich lub bezpośrednich).

Jeden plus obecnego oburzenia jest taki, że możemy wreszcie otwarcie o tym mówić i jednoznacznie na to wskazywać: banki centralne produkują inflację, a nie ją zwalczają. Jest to olśnienie godne podkreślania – podobnie jak fakt, że nagle połowa klasy politycznej otwarcie przyznaje, że wybory demokratyczne mają całkowicie marginalne znaczenie dla tego, jak funkcjonuje współczesna demokracja. Dużo ważniejsze są zakulisowe gry przedstawicieli elit politycznych, pomiędzy które wciskają się gdzieś służby specjalne i finansowa nomenklatura. A jeszcze do niedawna ktoś tak twierdzący byłby uważany za szaleńca, wierzącego w teorie spiskowe.

Skupowanie obligacji przez bank centralny odbywa się najczęściej poprzez rynek wtórny, czyli nie bezpośrednio od rządu, lecz od współników menniczej redystrybucji, czyli banków komercyjnych. Podobne działania odbywają się w Stanach Zjednoczonych czy w Japonii. Również niedawno mogliśmy obserwować europejskie przepychanki co do tego, jak dużo Europejski Bank Centralny powinien wydrukować euro, aby wspomóc bankrutujące rządy. Istnienie pośrednika w postaci banków komercyjnych nie zmienia jednak podstawowego faktu, że wszędzie na świecie banki centralne drukują pieniądze na finansowanie deficytu budżetowego. Polska nie jest tu żadnym wyjątkiem.

A skoro tak, to trudno oczywiście oczekiwać, że takie działania pozostaną bez wpływu na sytuację budżetową, a w konsekwencji polityczną. Zwyczajną mrzonką jest wierzyć w to, że bank centralny jest w stanie pozostawać „apolityczny”, skoro jego decyzje są absolutnie fundamentalne dla tego, co się stanie w fiskusie.

Problem obecnego prezesa NBP polega na tym, że złamał zasadę milczenia na ten temat. W świecie zachodnim obowiązują pozory i rzekome standardy. Zamiast bowiem mówić otwarcie o „wspieraniu rządu” należy mówić o walce o „stabilność makroekonomiczną”. Zamiast mówić o drukowaniu pieniędzy na dziurę budżetową należy mówić o „właściwej kompozycji policy mix”. Zamiast mówić o utrzymywaniu politycznego budżetu pewnej partii trzeba mówić o walce o „automatyczne stabilizatory” etc. Lista tego typu eufemizmów kamuflujących legalne kanały redystrybucji jest dosyć długa.

Jałowość obecnej sytuacji polega na tym, że wielu ludziom wydaje się, iż doszło do kolejnego ujawnienia afery o „kręceniu lodów”. Powinniśmy jednak zdawać sobie sprawę z tego, że w kwestii państwowej produkcji pieniądza „lody są kręczone” permanentnie i legalnie, a personalia niczego tutaj nie zmieniają. Obecne wypłynięcie taśm ma na celu właśnie przede wszystkim zmiany personalne. Najwyraźniej ktoś chce zgłosić

swoją kandydaturę na nowego cukiernika. Tymczasem warto pamiętać, że nie powinno chodzić o zmianę cukiernika, lecz o zmianę dużo głębszą i poważniejszą: o urynkowanie produkcji pieniądza i oderwanie jej od decyzji jakiejkolwiek państwowej instytucji. Obojętnie, czy ministerialnej, czy „niezależnej”. Jeśli oczywiście naszym celem jest stworzenie stabilnego otoczenia bankowego i finansowego dla polskiej gospodarki.

Autor: Mateusz Machaj

Źródło: [Instytut Misesa](#)